

O PRZYRODZIE I DZIECIĘCEJ EMPATII

z Małgorzatą Kur rozmawia Monika Ślizowska

Monika Ślizowska: Jest Pani na zakupach, z dzieckiem w parku i nagle pomysł wpada do głowy... Co Pani wtedy robi: notuje, zapamiętuje?

Małgorzata Kur: Nie notuję, próbuję zapamiętać. Czasem wymyślam coś w nocy, gdy nie mogę spać albo gdy się budzę, wtedy nagrywam pomysły na dyktafon. Ale gdy coś nagle wpadnie mi do głowy, próbuję później odtworzyć to z pamięci.

M. Ś.: Ma Pani swoje rytuały związane z pisaniem – stałe miejsce, może zawsze tę samą porę?

M. K.: Nie, zupełnie nie mam takiej dyscypliny, raczej to kwestia natchnienia. Gdy ono przychodzi, mogę usiąść i pisać, wtedy słowa płyną... Nie jestem pisarzem zawodowym, nie siadam do pisania od ósmej do szesnastej, nie umiałabym. Gdy próbuję na siłę, nie idzie mi to. A piszę zazwyczaj tutaj, gdzie mnie Pani widzi [na tle półek z książkami – M. Ś.], zazwyczaj w porze, kiedy mojego dziecka nie ma w domu albo kiedy śpi.

M. Ś.: Godzi Pani kilka ról, pracuje zawodowo. Czy marzy się Pani, że kiedyś to się zmieni i zostanie Pani pełnoetatową pisarką, czy może brakowałoby innej pracy?

M. K.: Nie brakowałoby (*śmiech*), bardzo chętnie mieszkałabym sobie w domku pod miastem, zajmowała się tylko pisaniem i spotkaniami z czytelnikami! To raczej trudne w Polsce: być tylko pisarzem dla dzieci i się z tego utrzymywać, prawda? Nielicznym się to udaje, ale zazwyczaj i tak mają jakąś drugą pracę.



Małgorzata Kur
(archiwum prywatne pisarki)

M. Ś.: Czy potrzeba pisania długo w Pani dojrzewała? Kiedy zaczęła Pani pisać?

M. K.: Początki były w liceum, gdy z koleżankami pisałyśmy opowiadania, tylko dla nas. Jedno z nich stało się naszą pierwszą książką, moją i koleżanki. *Żywot ucznia poczciwego (śmiech)*, bo taki miało tytuł, było o naszym liceum, podśmiewaliśmy się w nim ze szkoły, nauczycieli, ich powiedzonek. Zostało potem wydrukowane w szkolnej gazetce, ale nie myślałam wtedy o pisaniu. Tak naprawdę zaczęłam o nim poważnie myśleć, kiedy zaczęłam pracować w wydawnictwie książek dla dzieci. Przychodziło wtedy do nas mnóstwo propozycji wydawniczych, bardzo różnych, no i też wydawaliśmy bardzo różne teksty. Niektóre wydawały mi się fajne i wartościowe, a inne całkiem proste, i wtedy pomyślałam, że może też bym umia-

ła coś takiego napisać. To było dość dawno temu, chyba w 2014 roku napisałam pierwszą książkę – to był *Król zwierząt* – wysłałam na konkurs [Instytutu Spraw Publicznych], wygrałam i została opublikowana. Wtedy pomyślałam, że może rzeczywiście umiem pisać.



M. Ś.: Ma Pani na swoim koncie już kilka nagród, w tym im. Astrid Lindgren za *Gucia na tropie zaginionej świnki morskiej*, to z pewnością ośmiela! A czy doświadczenie w pracy wydawniczej i studia – polonistyka i grafika wydawnicza – pomagają Pani znaleźć się na tym rynku?



M. K.: Studia nie ułatwiają zupełnie niczego w moim życiu! (*śmiech*) Polonistyka nie przypomina studiów literatury za granicą, jakie się widzi w filmach, gdzie studenci dyskutują o książkach, piszą, potem czytają swoje dzieła na forum publicznym, omawiają, można je skomentować; u nas to raczej wkuwanie mało przydatnych rzeczy. Więc nie mogę powiedzieć, że studia mnie do pi-

sania przygotowały, zresztą nie trzeba kończyć żadnej filologii, żeby zostać pisarzem. Przecież wykształcenie nie ma tu znaczenia. Powiedziałabym, że bardziej praca w wydawnictwie coś mi dała – zaczęłam się wtedy interesować literaturą dziecięcą.

M. Ś.: Czy ta świadomość procesu produkcji książki pomaga w kontaktach z wydawcami, gdy Pani proponuje własne dzieło, czy niekoniecznie?

M. K.: Wiem, jak wygląda proces wydawniczy, mam jakieś wyobrażenie, ukształtowany gust, jeśli chodzi o ilustracje, wiem, jakie formaty książek najbardziej mi się podobają, jakie okładki. Na pewno mam już pogląd, jak bym chciała, żeby moja książka wyglądała, natomiast czasami autor by czegoś chciał, ale wydawca niekoniecznie może mu to zapewnić. Zdarzyło się kilka razy, że zasugerowałam ilustratora i wydawca się zgodził, było to bardzo miłe i byłam zadowolona z efektu końcowego. Ale nie zawsze są takie możliwości.

M. Ś.: *Rodzina z fotografii* została wyróżniona nagrodą Książka Przyjazna Dziecku. Jakie składniki – oprócz szaty graficznej – taka książka powinna zawierać? Może ma Pani już własny przepis na przyjazną dziecku książkę?

M. K.: Lubię, jak autorzy książek traktują dzieci poważnie i piszą tak, jak chcieliby, żeby do nich mówiono, czyli nie infantylizują pewnych rzeczy. Nie lubię książek, które mówią o rzeczach oczywistych, o sprawach, które każde dziecko wie i czuje, i nie trzeba mu tego tłumaczyć. Na pewno ciekawa fabuła jest ważna – wiemy przecież, że istnieją teraz bardziej wciągające dla dzieci media – ale również formuła, odpowiednia oprawa graficzna i fajna okładka, która rzuca się w oczy, bo zanim książkę się przeczyta, trzeba ją kupić albo wypożyczyć. Wspomniała Pani Ro-

dzinę z fotografii – ta książka jakoś zginęła, wydaje mi się, że to może być kwestia formatu; jest malutka, nie rzuca się w oczy... Może dlatego zrobiła się niewidzialna, a to jedna z moich ulubionych książek, które napisałam.



M. Ś.: Pojawia się w niej Pani rodzina Łódź. Miasto podszeptało historię, jakieś realne miejsca ją zainspirowały?

M. K.: Dokładnie tak, do napisania tej książki zainspirowała mnie willa, w której mieszkała rodzina z książki. Ta willa już nie istnieje, została zburzona kilka lat temu, ale często przechodziłam obok niej. Zafascynowała mnie i pomyślałam, że chciałabym napisać historię, która się w niej dzieje.

M. Ś.: W tle pojawiają się też wątki z historii miasta; to, jak przemiany ekonomiczne wpłynęły na los ludzi. Czy ważne jest przemycanie takich wątków w książkach dla starszych dzieci?

M. K.: Wątek był mi potrzebny do fabuły, natomiast było to dla mnie istotne, żeby i miasto, i troszkę o jego historii się w niej znalazło, bo jestem łodzianką, a Łódź jest niedoceniana zwłaszcza w literaturze dla dzieci.

M. Ś.: Czy zamierza Pani jeszcze do Łodzi w swojej twórczości wrócić?

M. K.: Na pewno. Pracuję nad książką, której akcja będzie się działa w Łodzi biedniejszej, w dzielnicy kamienic, w dość nie-

atrakcyjnych miejscach. To będzie historia dla starszego odbiorcy.

M. Ś.: Co jeszcze uruchamia Pani wyobraźnię, jakie tematy? Domyślam się, że ważne są sprawy środowiska, zwierząt...

M. K.: Tak, zdecydowanie to są tematy, które mnie poruszają, i bardzo bym chciała, żeby poruszały też dzieci i żeby po przeczytaniu książek o tematyce ekologicznej dzieci zaczęły się bardziej zastanawiać nad swoimi działaniami, może wpłynęły na rodziców, na swoje przyszłe zachowania proekologiczne. Ale też bardzo inspiruje mnie mój synek, pięcioletni Guccio, który stał się bohaterem książek z serii „Guccio na tropie”. Życie pięcioletka poznane od kuchni jest dla pisarza bardzo inspirujące! Takich rzeczy, jakie Guccio czasem robi i mówi, ja bym na pewno sama nie wymyśliła, a są takie szczerze, prawdziwe – dlatego czasem wykorzystuję jego miniprzygody w moich książkach. Na pewno także temat katastrofy ekologicznej jest mi bardzo bliski, bo uważam, że to nie jest przesada, że mamy ją przed sobą w dalszej lub bliższej przyszłości.

M. Ś.: Zatrzymajmy się więc nad tym wątkiem. Kalina, bohaterka *Ostatniego drzewa na Ziemi*, ma dar. Okazuje się, że ta nastolatka potrafi wyhodować drzewa, mimo że już nie udaje się to nawet naukowcom. Dzisiaj młodzi jako ci, którzy odziedziczą świat, nawołują do zaprzestania złych praktyk, żeby ratować przyrodę, działać jak najbardziej w zgodzie z nią. Dla wielu to misja, ale pojawiają się też głosy, czy obecny „dorosły” świat nie zrzuca na nich odpowiedzialności za swoje błędy, nie obciąża ich za bardzo taką misją – czy spotkała się Pani z taką opinią? Miała Pani taką refleksję przy tworzeniu tej książki?

M. K.: Nie, nie miałam takiej refleksji. Akurat w tym przypadku rzeczywiście młodzi ratują Ziemię. Dzieci są bardzo wrażliwe



i bardzo otwarte. I chodzi tu o to, żeby pielęgnować w nich te uczucia, bo gdzieś w wieku dorosłym one giną, empatia do roślin, do zwierząt się zatracza. Chodzi o to, żeby w dzieciakach zaszczepić poczucie odpowiedzialności – nie muszą ratować świata jako dzieci, ale żeby jako dorośli nie ztratili tej uważności; żeby myśleli proekologicznie, nie tylko o sobie i swojej wygodzie w teraźniejszości, ale o dalekiej przyszłości, której być może nawet nie dane im będzie poznać. Właściwie my jako dorośli nie mamy już nic do gadania, teraz wszystko jest w ich rękach.

M. Ś.: Dlatego w *Wielkim zielonym domu* pokazuje Pani już maluchom, jak można dbać o las, jak się zachowywać, żeby nie szkodzić zwierzętom.

M. K.: Już będąc w przedszkolu, można wykonywać drobne, małe gesty, żeby coś zmienić w swoim otoczeniu – nie chodzi nawet o las, wystarczy zadbać o podwórko,



o park blisko domu, w mieście. Dzieci naprawdę są bardzo otwarte i wrażliwe, można je naprowadzić na ścieżkę takiego myślenia o przyrodzie, że nie jest to nasz wróg, chwast do wyrwania, mysz do utylizacji, bo rozkopuje ogródek, tylko żeby żyć w harmonii z tym, co nas otacza.

M. Ś.: Ważnym motywem w Pani historiach jest także odpowiedzialność za zwierzęta domowe – koty, psy – by nie trafiły do schronisk. Ta kwestia pojawia się w *Amolu... czy Wyjątkowym kocie*. Gucio z mamą w trakcie swojego śledztwa również trafia do schroniska, a przy okazji mowa o tym, jak można takim placówkom pomóc, nawet jeśli nie może się adoptować zwierzę.

M. K.: To bardzo łączy się z tym, co właśnie powiedziałam – empatia dziecięca. Widzę po moim synku, że każda mróweczka, biedroneczka jest ważna, a potem z dzieci



wyrastają dorośli, którzy zatracają tę empatię. Fajnie by było, gdyby o niej nie zapomnieli...

M. Ś.: Żeby nie stały się dorosłymi, którzy koniecznie chcą ścinać drzewa...

M. K.: Każdy kiedyś kochał roślinki i potem to u niektórych ludzi ginie...

M. Ś.: Ciekawe dlaczego – czy świat nas tak wychowuje?

M. K.: Zmieniają się priorytety, dorośli mają inne priorytety niż dzieci. Dla dzieci ważne jest bezpieczeństwo, bliskość, miłość, troska. Dzieci widzą, że rodzice dbają o nie,

a one dbają o kogoś mniejszego. Do tego dochodzi wiara czy wręcz pewność, że zwierzęta, a nawet rośliny, tak jak ludzie czują, myślą, mają rodziny, sprawy do załatwienia. Mój synek często prosi, żebym mu powiedziała, co mówią kwiatki, co mówią chmury, co mówi jabłko, które dostaje w miseczce – dla niego każdy element przyrody ma duszę.

M. Ś.: Jaka jest rola dorosłych w książkach dla dzieci? Jacy oni są w Pani książkach?

M. K.: W moich książkach – mam nadzieję – ich rola jest jak najbardziej wspierająca. Rodzice Kaliny wspierają ją w jej misji. Rodzice Gucia pomagają mu w śledztwach – chociaż czasami wpada na absurdalne pomysły, nie wyprowadzają go z błędu, tylko chcą, żeby sam sprawdził, czy jego pomysł okaże się dobry czy też zły. Każde dziecko na pewno by chciało, żeby rodzice je wspierali, a probowali jego pomysły i stali za nim murem. Chciałabym, żeby w moich książkach tacy idealni rodzice się pojawiali.

M. Ś.: Są też rodzice Mai w *Amolu...*, zupełnie nieidealni. Pewnie tacy, jak wielu rodziców w naszych czasach, bombardowani przeróżnymi reklamami i medialnymi przepisami na życie, próbują się w nie wpasować. Ale oni się w trakcie historii zmieniają.

M. K.: Tak, zmieniają się. Na początku chciałam, żeby byli antyrodzicami (*śmiech*) od początku do końca historii. Rodzice Mai są inspirowani prawdziwymi rodzicami i oni

także się zmienili pod wpływem nowego członka rodziny, więc jest pozytywny wydźwięk – każdy może się zmienić.

M. Ś.: Sięga Pani po różne gatunki – Gucio jest bohaterem opowieści detektywistycznych, *Rodzina z fotografii* czy *Amol kontra Amol* to historie obyczajowe, *Ostatnie drzewo na Ziemi* ma, można powiedzieć, elementy dystopii. Wypróbowała Pani też różne formy – *Wielki zielony dom* w strukturze odzwierciedla przestrzenność lasu-domu (piętra, mieszkania), *Amol...* to fabuła przecięta w środku i opowiedziana z dwóch perspektyw. Pisarze dla dzieci, jak Pani wspomniała, często piszą bardzo prosto, niektórzy uważają, że literatura dziecięca nie może być zbyt formalnie urozmaicona. Czy to ważne, żeby urozmaicać, „uciekawiać” formę?

M. K.: Sama forma wypływa z treści, i jakoś to się samo później okazuje, że tak powinno być; że w takiej formie historia się dobrze układa. Staram się, żeby moje książki miały ciekawą formę i dla dzieci, i dla rodziców – przecież przedszkolaki same sobie ich nie przeczytają. Sama często wypożyczam książki z biblioteki, właściwie codziennie czytamy coś nowego, i gdy rodzic – czy ja, czy mój mąż – nudzi się przy czytaniu, dziecko też się nudzi, to wyraźnie widać. Obydwoje muszą się dobrze bawić, a forma jest dodatkowym urozmaicheniem treści.

M. Ś.: Ma Pani na swoim koncie również publikacje non-fiction dla dzieci.

M. K.: Tak, w serii, w której ukazały się *Zjeść głowę cukru* i *23 rzeczy ważniejsze od zwierząt*, będzie jeszcze trzecia książka popularnonaukowa. Mam nadzieję, że ukaze się w 2022 roku. Do tych dwóch pozycji z serii, które napisałam, akurat na polskim rynku nie ma podobnych i wydawało mi się ważne, żeby coś takiego wydać. *Zjeść głowę cukru* zresztą zostało już wydane w Chinach i Rosji, inne kraje też są zainteresowane.





M. Ś.: To świetnie! O czym będzie nowa książka z serii?

M. K.: Na razie nie mogę zdradzić...

M. Ś.: Woli Pani pracę nad takimi pozycjami czy nad fabułą?

M. K.: Wolę zdecydowanie fabułę, jest mi dużo łatwiej wymyślać historię i być jej kierownikiem, bo sama ją kreuję, mogę dowolnie zmieniać i nadawać cechy moim bohaterom. Natomiast jeśli chodzi o książki popularnonaukowe, jednak trzeba trzymać się faktów, zebrać mnóstwo materiałów, zgromadzić sporą bibliografię. Nie można popuścić wodzy fantazji przy ich pisaniu, ale myślę, że takie książki zdecydowanie też są wartościowe.



M. Ś.: Pisze Pani i dla młodszych, i dla starszych dzieci. Czy pisanie dla którejś z tych grup odbiorców sprawia większe trudności, większą przyjemność?

M. K.: Od kiedy mam dziecko, lubię pisać dla młodszych czytelników. Kiedyś wydawało mi się, że nie umiałabym; długo się broniłam

przed pisanem dla przedszkolaków. Od kiedy sama wychowuję przedszkolaka i bardziej rozumiem ten świat, jestem w stanie w niego przeniknąć i wyobrazić sobie, co takie dziecko w danej chwili może czuć, myśleć, jest to dla mnie prostsze. Ale wolę pisać dla dzieci starszych – myślę tu o grupie 8–12 lat, dla jakiej jest np. *Ostatnie drzewo...*, *Rodzina...* – wtedy mogę napisać o sprawach, które zaprzatają mnie jako osobę dorosłą i które jednocześnie rozumieją też młodsze nastolatki. Pisząc, bardzo się wczuwam w moich bohaterów, utożsamiam się z któryms z nich, wnikam w historię i wtedy sama się czuję jak nastolatka, przeżywam przygody, które chciałabym przeżyć albo przeżyłam, tylko w mniej atrakcyjnej formie. Dlatego książki dla młodzieży sprawiają mi dużo przyjemności.

M. Ś.: Proszę jeszcze zdradzić, czyje fabuły, głosy literackie na Panią wpłynęły. Czy ma Pani ukochanych pisarzy z dzieciństwa?

M. K.: Jeśli chodzi o to, czy ktoś na mnie wpłynął, wydaje mi się, że nie było takiego autorytetu, na którym bym się wzorowała. Choć często się zdarza, że czytając książkę dla dzieci czy młodzieży, myślę sobie, że właśnie taki efekt chciałabym uzyskać w mojej twórczości. Natomiast moją ukochaną książką z dzieciństwa – a bardzo lubiłam, kiedy mi czytano, i dręczyłam o to całą rodzinę – były przygody wróbelka Elemelka. Teraz, po dwudziestu kilku latach, czytam to mojemu synkowi i nadal się zachwyam tym, że to wciąż jest aktualne, napisane fajnym językiem, takim jaki dziecko dzisiaj rozumie. Jestem zachwycona tymi opowiadaniem, już z moim synkiem prawie każdą przygodę wróbelka znamy na pamięć.

M. Ś.: Czyli od początku przyroda i zwierzęta.

M. K.: Zdecydowanie tak!